



Leszek Zabłocki

część II z III

Sygnatura notacji: **N1329**
Data urodzenia: **9.08.1924 r.**
Data nagrania: **19.02.2019 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 47 min, część II: 56 min, część III: 50 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

... i Albrecht popełnił samobójstwo. Ale w jego mieszkaniu był „kocioł”. I tam koleżanka nasza, nie wiedząc o tym, weszła tam, i tam ją zahaczyli Niemcy. Bo wiecie, co to był „kocioł”. Mieszkanie, do którego mógł wejść każdy, ale wyjść nie mógł nikt. No i przy tej koleżance znaleziono nasze fotografie, takie różne rzeczy. Później się okazało, że w tejże spółdzielni nauczycielskiej mieszka jakiś folksdojcz, który współpracuje z Gestapo, który tę fotografię zidentyfikował. No i tam chyba... Znaczący, tę naszą koleżankę aresztowano w lipcu. Myśmy... Kto mógł, to wyjechał. Ja wyjechałem do stryja, do Podkowy Leśnej i tam – bo to były wakacje – byłem dłuższy czas. Ale później przez rok szkolny to wróciłem. Ledwo zdążyłem wrócić, to w nocy z 17 na 18 września zjawili się u mnie Niemcy. Ja specjalnie nie mówię i staram się nie używać określenia: „Gestapo”. Ja mówię tajna państwowa policja Rzeszy niemieckiej. Tak się ówczesne państwo niemieckie nazywało. W czasie okupacji nikt nie mówił, że go aresztowali hitlerowcy, wszystkich aresztowali Niemcy. Niemcy rozstrzelali, Niemcy wieszali, nie żadni hitlerowcy. Ja to bardzo podkreślam, bo teraz usiłuje się, wymyślił ktoś taką, takie hasło, że Niemcy były pierwszą ofiarą Hitlera. Z przeproszeniem: gówna prawda, to sobie mogą opowiadać, komu chcą, ale nie mnie. Więc w ten sposób, w nocy z siedemnastego na osiemnastego... Ja sobie leżę w łóżeczku. Pukanie do drzwi... Łomotanie do drzwi. Przychodzą przedstawiciele tej tajnej państwowej policji niemieckiej, no i aresztują mnie. Później idą do drugiego kolegi, który akurat nie był ze Związku Jaszczurczego, tylko z Armii Krajowej i jego też aresztują. Później idą do trzeciego. Trzeci, uprzedzony, to był już członek Związku Jaszczurczego, ucieka na strych. To biorą jego młodszego brata. I nas trzech zawieźli na Pawiak. Ale wrócili jeszcze po jednego, takiego... On był w Armii Krajowej. Chłopak mieszkał sam, jego ojciec był w niewoli rosyjskiej, zginął w Katyniu zresztą. I on już... Jego uprzedziła dozorczyńni. Bo jak nas odwozili ci gestapowcy, to ta dozorczyńni do wszystkich tych, których uważała, że mogą jeszcze po nich przyjść, poszła i uprzedziła ich. I tego

właśnie kolegę, nazywał się Wiesław Fidler. To ciekawa postać, bo ojciec, oficer, zginął w Katyniu. To rodzina protestancka, nie rzymscy katolicy, bo oni się tam gdzieś wywodzili ze Szwecji, coś takiego. Nazwisko niemieckie. No i oczywiście po niego przyszli, ale on już był przygotowany, że najmniejszą okazję wykorzysta, żeby uciekać. On był trochę starszy ode mnie, dwa lata. No i rzeczywiście, tam wyprowadzili go z tego mieszkania gdzie on mieszkał. On mieszkał sam. O! I jeszcze to ważne. On mówił później, jak z nim rozmawialiśmy, że, mówi tak: on wiedział, że za tego jednego kolegę aresztowano młodszego, a on był sam, w związku z tym żadnych, prawda... To nie będzie groziło jego rodzinie, bo kogo? On nie miał żadnej rodziny tu w pobliżu. No więc jak go wyprowadzili z tego mieszkania do bramy... Z tym, że tam teren spółdzielni mieszkaniowej, ta spółdzielnia jeszcze nie była obudowana wkoło. Teraz to jest zabudowany cały prostokąt. Jeszcze był pewne miejsce, gdzie dopiero były, gdzie tam zamierzano budować dopiero i był tylko płot oddzielający podwórze spółdzielni od ulicy. To wysoki płot z drutem kolczastym na górze. Więc wracając do Wieśka, którego prowadzą ci gestapowcy. I w pewnym momencie ten gestapowiec, prowadząc go pod pistoletem, coś chciał, nie wiem, zapalić papierosa czy, z przeproszeniem, podrapać się gdzieś czy coś, opuścił pistolet. Wtedy Wiesiek prysnął w kierunku tego płotu, takim oczywiście zygzakiem. Ten Niemiec się zorientował zaraz i zaczął do niego strzelać, ale nie trafił go. Wiesiek dopadł do tego płotu, wdrapał się na górę, mówi, tam podarł sobie płaszcz o ten drut kolczasty, ręce poranił. I z drugiej strony nie miał już siły złazić, tylko zwałił się z tych tam dwóch czy trzech metrów, z hukiem, w kałużę. Jak wpadł w kałużę, to ocknął się i natychmiast powstał i uciekł, bo znał Żoliborz dokładnie. Ale ci Niemcy, słysząc ten łomot, sądzili, że go trafili i że z drugiej strony spadło ciało. Sobie wsiedli w samochód, objechali spółdzielnię dookoła, przyjeżdżają, a ciała nie ma. No i wtedy wrócili do nas, a zwłaszcza do mnie, bo ja byłem z tych trzech, których aresztowali, najstarszy, no najbardziej tak się prezentowałem, że tak powiem, dorosłe, jeśli można tak powiedzieć. No i do mnie. Kto to był ten, co uciekł? Dlaczego on uciekł? A ty pewnie masz kontakty z organizacją konspiracyjną. Ja mówię: „Ja nie wiem, ja... - Fidler był ode mnie starszy – a ja w ogóle handluję bimbrem, nie zajmuję się polityką”. Wiecie, co to był bimber? No. Handel bimbrem był bardzo powszechny w czasie okupacji. „No jak nie wiesz, to my ci przypomnimy” i dostałem potężne lanie, którego ślady mam dotychczas na rękach. Rozbito mi... Znaczą, mnie nie torturowano, tylko mnie po prostu bito pałkami, a właściwie takimi grubymi laskami normalnymi, grubymi, gdzie popadło. Ja się zastaniałem, to tę rękę miałem tak spuchniętą całą później. Głowę, tu miałem skórę rozciętą na głowie. No tam wszędzie byłem pobity. No, ale to ciekawe, że ja w ogóle nie zemdlałem mimo tego bicia. Przecież nikt tam nic nie oszczędzał mnie, leli mnie z całej siły. W każdym bądź razie, później, jak mnie... Bo później nas wszystkich trzech prowadzono do łaźni, bo przed osadzeniem w celach, to trzeba było przejść przez łaźnię więzienną. Jak mnie ten jeden z tych dwóch aresztowanych oprócz mnie zobaczył w łaźni, to później w swoich wspomnieniach napisał, że dopiero wtedy się przestraszył. On wyraźnie pisze, że dopiero wtedy sobie pomyślał, czy on wytrzyma takie bicie. Bo ja wyglądałem makabrycznie. Bo jak mówię: włosy mi ścięto oczywiście, jak szedłem do tej łaźni. A wtedy była taka moda, że nosiło się długie włosy. Ja się niby czesałem do góry, ale szesałem te włosy do przodu, to mi sięgały tak. Ja dopiero musiałem zrobić przedziałek i tam... Jak mnie maszynką ostrzyżono – to robili oczywiście ci koledzy, funkcyjni więźniowie, no to mnie tam oszczędzali. To znaczy, tam, gdzie miałem tę rozciętą skórę, to mnie tam tą maszynką nie jeździli i w związku z tym w tym miejscu miałem taki kosmyk włosów i z tego skapywała krew. I to podobno najbardziej wyrażało... Wyglądało przerażająco. No, ale w każdym bądź razie manto dostałem solidne. Trafiłem... Poza tym moi dwaj chłopcy, jako niepełnoletni, bo oni, [...] to oni trafili do cel dla nieletnich, które były przepelnione, tam były... A ja, jako ten, ja wiem? Najbardziej podejrzany, trafiłem do pojedynczej, izolowanej celi. Najpierw na kwarantannę do piwnicy. No tam zaraz rano, bo to było już

nad ranem, przyszedli do mnie ze śniadaniem ci więźniowie funkcyjni, no i ja się wtedy dopiero... Bo ja się orientowałem, że jestem na Pawiaku, ale nie miałem takiej stuprocentowej pewności. Wtedy się dopiero upewniłem, pytając się tych, cichcem, jak mi, bo on mi przysuwał tę miskę z tą czarną kawą, a ja się po nią schylałem, nasze głowy były koło siebie, wtedy mogłem się łatwo go zapytać: „Czy to Pawiak?”. A on mówi: „Tak, Pawiak”. No i tak trafiłem na Pawiak. Koledzy... No tutaj też to już, bo wśród więźniów funkcyjnych była rozbudowana konspiracja, więc jak przyszedł ranek, to mnie z miejsca zaprowadzono do szpitala więziennego i tam trafiłem w ręce pana doktora, też więźnia, pana doktora Lotha. To był facet nieoceniony. Bo ja już jak zacząłem się, zacząłem się zastanawiać, co właściwie ze mną jest, no to najgorsze było to, że ja jestem w strasznym stanie, rozbity, nie wiadomo, czy mnie znowu nie wezmą za głowę i znowu nie dadzą lania, i czy ja w tym stanie to lanie drugie wytrzymam. No, ale pan doktor Loth jakoś wziął mnie szybko w swoje ręce i w stosunkowo niedługim czasie zlikwidował mi tę opuchliznę ręki. On najpierw tam podejrzewał, że może być pęknięcie tu jakieś, ale tego nie było, tylko po prostu chodziło o to, żeby ta... Tu mam ślad jego skalpela na ręce do dzisiaj. Żeby tę ropę odprowadzić. No i ta głowa to się szybko zasklepiła. Tak że dzięki panu doktorowi Lothowi, ja stosunkowo szybko pozbyłem się tej obawy, czy wytrzymam następne przesłuchanie, czy nie, bo wróciłem do normy. Ale trafiłem do pojedynczej, izolowanej celi, to znaczy, że cela była cały dzień zamknięta, ja byłem wypuszczany z celi tylko rano i wieczorem, i to nie w celu, żebym mógł potrzeby fizjologiczne zafatwić, bo to musiałem zafatwiać w celi, do kubła wszystko. Miałem kubek i dzbanek z czystą wodą. Wypuszczano mnie tylko po to, żebym ją, biegnąc, bo umywalnia była na drugim końcu korytarza, biegnąc z kubkiem w jednym ręku i z dzbankiem w drugim ręku, szybko dobiegł do tej umywalni, wylał brudy, zaczerpnął wody i z powrotem biegiem. Wszystkie inne cele w tym czasie były zamknięte oczywiście. Tak że był problem, co będzie ze mną dalej i co robić z tym czasem, którego miałem nadmiar. Bo warunki właściwie miałem bardzo dobre. Nie było tłoku. Bo tamci koledzy, którzy trafili do cel małolatów, to ich było tyle w celi, że jak się położyli wieczorem na podłodze spać, to przede wszystkim musieli leżeć na boku, bo na wznak to się nie zmieścili i jak się przewracali z boku na bok, to na komendę. No ja tego nie miałem, ale byłem sam. To było czasami gorsze do przetrzymania. No i co będzie dalej, co będzie... Z tym że w czasie tego przesłuchania o którym mówiłem, w którym dostałem takie potworne manto, to jedna rzecz trafiła do mojej świadomości, pozytywna. Że Niemcy właściwie na temat naszej działalności konspiracyjnej nic nie wiedzą. Nic. Myśmy trafili przypadkowo w ich ręce. I to mnie pocieszało. Że to znaczy, że ja muszę wszystkiemu zaprzeczać, bo oni nic nie wiedzą. Tak że jak później, kilka... No, to kilka tygodni później, wieziono mnie i tych dwóch kolegów na przesłuchanie na Szucha, to ja w tym samochodzie tak... Bo już jak nas zebrano tam w tym korytarzu więziennym, przygotowywano do tego przewiezienia na Szucha, to już sobie pomyślałem... I zobaczyłem tych dwóch kolegów, to już myślę sobie, że trzeba to wykorzystać. I wsiadając do tej budy, tak się ustawiałem, żeby jednego z tych kolegów przed sobą pchnąć na te deski przy brzegu. On usiadł, a ja usiadłem mu na kolana. I wtedy mogłem mu do ucha powiedzieć: „Słuchaj, oni nic nie wiedzą, wszystkiemu zaprzeczajcie”. W ten sposób trafiłem na przesłuchanie. Tam później... Ale to się obyło bez bicia, to przesłuchanie. To jeszcze ciekawostka: siedziałem w tym tramwaju sławetnym na Szucha. A Szucha, wiecie, jak się nazywała w czasie okupacji? StraÙe der Polizei. No i tak siedziało się tyłem do korytarza, twarzą do ściany, na której było napisane: Sprechen und rauchen streng verboten. To znaczy: mówienie i palenie surowo wzbronione. No i było słyhać jęki. A mało tego, jak wyszedłem za potrzebą fizjologiczną, no bo jak się siedziało tam cały dzień, to z przeproszeniem, w majtki nie można było siusiać, tylko trzeba... Wypuszczali do tej ubikacji. To były podziemia obecnego Ministerstwa Oświaty Narodowej. No i ja tam... Tam ten Niemiec mnie wpuścił, stał tam przy drzwiach, a ja robię siusiu i patrzę, że pod ścianą leży jakiś taki tłumok podłużny,

przykryty gazetami. Myślę: „Co to za cholera?”. Ale jak się bliżej przyjrzałem, to stwierdziłem, że to były zwłoki ludzkie. Ktoś, kto nie wytrzymał przesłuchania, trafił już w charakterze nieboszczyka, zanim go tam gdzieś wywieźli, do ubikacji. No i później z tego tramwaju na przesłuchanie, no mnie tam na drugie piętro, do określonego pokoju. Ale nie prowadzono tak prosto, po schodach, tylko ze dwa razy mnie oprowadzono wkoło całego budynku tak, żebym ja stracił orientację, gdzie to właściwie jest, z której strony są Aleje, z której strony Szucha i dopiero mnie tam do tego pokoju doprowadzono. No, tam jakoś się obeszło bez bicia następnego. No bo jak mówię, oni widocznie doszli, że nie warto się nami zajmować specjalnie, bo tych dwóch kolegów w ogóle nie przesłuchiowano, tych ze mną aresztowanych. No więc zostałem w tej pojedynczej, izolowanej celi. Co robić z czasem? No bo tak, żeby czymś ten czas zająć i nie myśleć, co może być jutro. Bo w mojej sytuacji to jutro, to było tylko albo do obozu koncentracyjnego, albo w charakterze zakładnika mogłem być powieszony na ulicy, tak jak w tym czasie, jak ja tam byłem, tych pięćdziesięciu więźniów było wybranych. To byli więźniowie Pawiaka i powieszeni na ulicach. No więc co robić. No różne rzeczy robiłem. Przede wszystkim dbałem o dwie rzeczy: poczucie czasu, czyli kalendarz na ścianie. No bo gdzie? Papieru nie miałem, ołówka nie miałem, a czym drapać na ścianie. Ale miałem śmietniczkę metalową, zardzewiałą, której się bok dało tak wyłamać trochę. I był taki trójkącik, który można było wyostrzyć o tę betonową posadzkę i tym można było drapać na ścianie. I na tej ścianie prowadziłem kalendarz od pierwszego dnia, tak że jaka jest data, dokładnie wiedziałem. Jeszcze na Pawiaku, bo w czterdziestym drugim roku w lecie, w końcu lata, były rosyjskie naloty na Warszawę, które miały na celu zbombardować mosty, ale bomby padały nie na mosty, tylko na domy mieszkalne. To jeszcze przed moim aresztowaniem tak było. Ale ostatni nalot to był już, jak ja siedziałem na Pawiaku. No to jak usłyszałem huk i widziałem rozbłyski tych... Bo to najpierw takie rzucano, flary, takie reflektory, które... Na spadochronie zawisał i oświetlał. No może trafią w to więzienie, wszystko się rozleci. Ale nic takiego nie było. Więc kalendarz prowadziłem, dokładny kalendarz. Wiedziałem, jaka jest każdego dnia data. No, czasami jeszcze tam coś pisałem sobie, wydrapywałem jakieś takie wierszyki. „Pięć kroków wzdłuż, dwa kroki w szerz, codziennie swoją celę mierz”. No jak się siedzi samemu w celi, to różne takie rzeczy do głowy przychodzą. Ale druga rzecz to była dbałość o kondycję fizyczną. No to odżywianie. À propos odżywiania, no to później raz na miesiąc mogłem dostać paczkę od rodziców, żywnościową. No to chodziło o to, żeby z przeproszeniem, nie zeżreć tej paczki na raz, tylko ją rozstawić na poszczególne... Rozłożyć na poszczególne dni. Tak, że to tam, różnie mi tam... Czasami mi... Bo trochę masła mi przysyłała, no ale głównie smalec, bo to się lepiej przechowuje. No i jakieś tam konfitury. I na przykład nauczyłem się jeść chleb, no bo chleb jakiś tam dostawałem, nie był on smaczny, ale dostawałem. Chleb z masłem i z konfiturami bardzo jest smaczny, ale na przykład chleb ze smalcem i z konfiturami jadł pan kiedy? A ja jadłem. No bo smalec mi zostawał i konfitury mi zostały, a masła już nie było. Bo ja to sobie rozkładałem. To już było... To był nawyk wyniesiony z harcerstwa. No i później... Wody to, miałem dzbanek wody rano i później na noc dzbanek wody do picia i do mycia. No więc myłem się codziennie rano do pasa, ale właściwie tak się ochlapywałem, bo musiałem tę wodę oszczędzać do picia, bo to była ta sama woda. No i jakaś gimnastyka. Przede wszystkim trzeba było ćwiczyć nogi, doszedłem do takiego wniosku, bo karne ćwiczenia, o które było bardzo łatwo, zaraz o tym powiem, polegały na tym, że kazali ci ukucnąć, wziąć w ręce stołek i skakać. I tam przeskoczyłeś... Zrobiłeś takich tam piętnaście skoków, wtedy ci krzyczeli: Aufstehen und lauf! Powstań i biegiem! I to ludzi w gorszej kondycji fizycznej, to im nogi odmawiały posłuszeństwa, to on się wtedy by nie był w stanie biec, przewracał się i dopiero dostawał lanie, bo nie wykonał rozkazu. Więc trzeba było o te nogi dbać. W związku z tym ćwiczyłem przysiady. Ile przysiadów robiłem dziennie? Sto.

Tysiąc.

Eee, tysiąc to już przesada, ale sto robiłem. Sto robiłem, tak. Tak, że nogi miałem wytrzymałe w ten sposób. No, ale jest tego czasu jeszcze mnóstwo. Więc co zrobiłem. Ulepiłem sobie z chleba warcaby, szachów nie, bo w warcaby to można grać samemu ze sobą, a w szachy nie, nie da rady, prawda, to już jest... No, grałem sam ze sobą w szachy. Poza tym pozwalano mi cerować skarpetki, to tam dawali mi igłę. No więc ja... To nie były dziury, które zrobiły mi się podczas chodzenia w skarpetkach, tylko ja te dziury sam wydzieriałem, żeby było co cerować. No taki sposób zajęcia czasu. Z tym że najlepsze to było coś innego. Mianowicie więzienne władze niemieckie pozwalały poza żywnością i tam jakimiś ciepłymi rzeczami z ubrania na zimę, przysłać dwie książki więźniowi: podręcznik nauki niemieckiego i Biblię. Biblia mogła być po polsku albo po niemiecku, obojętne. Które natychmiast, jak tam co miesiąc, to pisałem ten list, który był właściwie takim druczkiem, który się podpisywało i tam dwa słowa można było dodać. W tym druczku było napisane, że czuję się dobrze, wszystko w porządku, całuję was, kochani rodzice. No to ja dodałem: „Przyslijcie mi Biblię i podręcznik”. No i oczywiście starzy mi natychmiast to przysłali. Jeszcze pamiętam, jak przyszła ta przesyłka, to mający dyżur esesman mnie wezwał do tego swojego pokoju. Oczywiście te książki przetrząsnęto dokładnie, czy tam nie ma jakichś listów, a jeszcze, nie daj Boże, jakiejś piłki do metali czy coś. To ja się zorientowałem, że wszystko zostało dokładnie przetrząsnęte. On, jak ja przyszedłem, zameldowałem się, on powiedział: „To jest...”. Ale zadał mi pytanie przed tym, którego się nie spodziewałem: Jakiego ja jestem wyznania? Ja mówię, że: römisch-katholisch, rzymsko-katolickie. To on mówi: „No tak, bo to dziwne – mówi – bo Biblię to czytają protestanci, a katolicy za rzadko czytają Biblię”. Ale później dał mi to i to było najlepsze zajęcie czasu. Tak że ja... Nie mogę powiedzieć, że ja studiowałem Pismo Świąte, nie, ale przeczytałem wszystko i to częściowo było nawet po niemiecku. Przeczytałem sobie także te wszystkie czytanki z podręcznika języka niemieckiego, ale Biblia mnie zainteresowała bardzo, to ciekawa książka. No i to zabiera czasu, zwłaszcza jak jest po niemiecku, bo to trzeba się zastanowić, co to znaczy. No więc w ten sposób zajmowało się czas, którego było nadmiar. Teraz jeszcze muszę powiedzieć dwa słowa na temat działalności konspiracyjnej kolegów-więźniów, którzy byli na funkcjach. Już o jednym to już mówiłem, powiedzieli mi, że jestem na pewno na Pawiaku. Druga rzecz, w podobnych okolicznościach też... Bo dzień zaczynał się w ten sposób, że przychodził esesman, otwierał drzwi i ja musiałem mu się zameldować: Zelle Nummer acht, bleibt in einem Haftling. Alles in Ordnung. To znaczy: cela numer osiem, obsadzona przez jednego więźnia, wszystko w porządku – oczywiście tylko po niemiecku, żadnej rozmowy po polsku nie było. Tak się zaczynał dzień. Później było śniadanie. Śniadanie to była miska czarnej kawy zbożowej, bez cukru oczywiście i tam taka pajdka chleba, który był fatalny, no bo to był taki razowiec rozrywający. No, ale to trzeba było brać i jeść, bo człowiek się musi odżywiać. Ale któregoś dnia jak mi właśnie ten, tę kawę podsuwają i tu dają chleb, te głowy, moja i tego więźnia funkcyjnego są na tym samym poziomie, on mi mówi: „Słuchaj, jak jesteś głodny, chcesz dostać dodatkowe porcje, to powiedz jutro, że cię boli brzuch, to dostaniesz owsiankę dodatkowo, oprócz tego, co dostajesz”. No to ja kiwnąłem głową i oczywiście natychmiast następnego dnia się zgłosiłem z bólem brzucha i przez dziesięć dni dostawałem owsiankę. To była owsianka na, czyli płatki owsiane, nie na mleku, ale na wodzie i to taki gorszy gatunek, taka „plujka” – co to źle oczyszczone i trzeba było mnóstwo tych... Ale to pozwalało wprowadzić tych artykułów żywnościowych do żołądka więcej, no i utrzymać się w kondycji. A to była ta... To organizowało te tak zwane RGO, Rada Główna Opiekuńcza, która później w tak zwanej Polsce ludowej miała kłopoty za współpracę z Niemcami, a oni robili świetną robotę, jeśli cho-

dzi o opiekę nad... Ja później się z tym zetknąłem jeszcze na Majdanku. Tam mi załatwili zastrzyk przeciwtyfusowy. RGO to była bardzo porządna... Tam był taki chyba Kiernik, prowadzący. To ja zawsze się wyrażam pozytywnie o tym. No teraz jeszcze ta, jeszcze dwa takie obrazki tej konspiracji więźniów funkcyjnych. Jak mówiłem, że co rano też biegłem z kubłem i dzbankiem po wodę, ale na końcu korytarza były, z jednej strony były umywalnie i z drugiej, więc tam, żeby było szybciej, to tam lecieli do jednej umywalni i do drugiej, i tam stał zawsze jeden z kolegów, funkcyjnych więźniów i mówił, do której umywalni... Pokazywał mi właściwie, do której umywalni mam pójść, żebym się, broń Boże, nie spotkał z tym innym więźniem. No i to już, pamiętam, było w listopadzie chyba czterdzieści dwa, ja tak lecę, dobiegam do niego, do tego więźnia funkcyjnego, który tam dyryguje ruchem. On mi tam pokazuje, nie wiem, prawą czy lewą stronę i tak patrząc się przed siebie, mówi: „Alianci wylądowali w północnej Afryce”. To informacja bardzo ważna, jeśli chodzi o podniesienie kondycji psychicznej. No bo cała rzecz polegała na tym, żeby nie stracić przekonania, że Niemców trafi szlag, czyli mieć nadzieję. Dlatego było takie sławne w więzieniu powiedzenie, że: „Nadzieja umiera ostatnia”. To później... Tak się potocznie mówi, że: „Nadzieja to matka głupich”. Wcale nie, to jest rzecz bardzo ważna – beznadziejny, to idziesz do dna. No i jeszcze jeden obrazek. Jest Wigilia czterdziestego drugiego roku, ja dostałem paczkę świąteczną, więc tam sobie mogłem coś zjeść ekstra, ale jeszcze na kolację dostaliśmy ekstra zupę, jakąś grochówkę czy fasolówkę, nie wiem, tak że się nażarłem w sposób straszny. I otworzyłem sobie to, bo ja miałem to łóżko takie od ściany i tam się na nim oparłem. I nagle... to tylko był apel. No i otwierają się drzwi od celi i wchodzi jeden z funkcyjnych, taki inżynier Zelent. To bardzo dobra postać, on później bardzo świetnie się zachowywał na Majdanku. Wchodzi ten Zelent, ja patrzę, stoję, patrzę, co on chce, a on podchodzi do mnie, obejmuje mnie i życzy mi wszystkiego dobrego w związku ze Świątami. Jak do tego doszło? Więc wśród załogi niemieckiej byli ci tak zwani, także tak zwani Ukraińcy. To byli czerwonooarmiści z Ukrainy, którzy zgłosili gotowość współpracy z Niemcami, no i ubrano ich w mundury SS, i oni tam wraz z Niemcami byli na Pawiaku tymi wachmanami. Z tym że później Niemcy... Niemcy ich traktowali zawsze bardzo lekceważąco i... Ale wśród tych Ukraińców byli bardzo różni ludzie. Były swołoczne gorsze od Niemców, ale byli tacy jak ten, który właśnie się trafił na to Boże Narodzenie, z którym się Zelent prawdopodobnie za jakiś tam prezencik dogadał i on po prostu otwierał te cele, odwracał się, a Zelent składał te życzenia. Pamiętam nawet, jak się nazywał, ten Ukrainiec nazywał się Sliedz, czyli śledź. Tak że to... No, zawsze ludzie są różni, ale... No więc to na temat konspiracji więźniów funkcyjnych. No i w ten sposób doszło do, z kolei też 17 stycznia czterdziestego trzeciego roku, kiedy był olbrzymi transport do, to się nazywało oficjalnie: Waffen SS Konzentrationslager Lublin, nie żaden Majdanek. To się później przyjęło. Ten obóz był w dzielnicy Lublina zwanej Majdanek, ale oficjalnie nazwa brzmiała: Waffen SS Konzentrationslager Lublin. Lublin i wymawiana tak jak Berlin. Z tym że to nie był obóz koncentracyjny, to był obóz zagłady. Zaraz to udowodnię w dalszym ciągu swojego opowiadania. Tam przesiedziałem piętnaście miesięcy. Jak spotykam się teraz czasami z młodzieżą z Lublina, która przychodzi do Muzeum na Pawiaku, to mówię: „Ja też jestem lubliniakiem”. No, dzieje obozu, to nie będę ich tam od początku opowiadał. To początkowo był obóz dla jeńców wojennych, rosyjskich. Później tam trafili Żydzi. Myśmy byli pierwszym transportem aryjczyków, więźniów aryjczyków. Przedtem byli tylko Żydzi. Żydzi czescy, Żydzi słowaccy i trochę Żydów polskich, tak że wszystkie... Bo także były te funkcje przez więźniów... Tak jak byli więźniowie funkcyjni w więzieniu i tak samo byli w obozie. Więc te wszystkie funkcje obsadzane przez więźniów były w rękach głównie Żydów słowackich, to znaczy: blokowi w tym... Lagerschreibstube, to znaczy ta kancelaria obozowa – o, takie pozycje. Jak żeśmy, dwa słowa jeszcze, jak żeśmy jechali do tego Lublina. Bo to był około tysiąca więźniów z Pawiaka i drugi tysiąc to było z Łapanek. Bo to były olbrzymie łapanki w Warszawie wtedy. Czyli

po prostu z ulicy brano ludzi, którzy... Przypadkowych zupełnie. Dwadzieścia stopni mrozu, wagon towarowy taki, kryty wagon, ale z takimi zasuwanymi z boku drzwiami. Oczywiście okienko, tam jest takie małe okienko zakratowane drutem kolczastym. Drzwi zamknięte na jakąś tam kłódkę czy coś, tak że absolutnie nie otwierane przez... No wieźli nas tam prawie dwa dni do tego Lublina, bośmy najpierw stali na Dworcu Wschodnim kupę czasu. I cały czas było minus dwadzieścia na zewnątrz. Oczywiście nikt nas za potrzebami fizjologicznymi nie wypuszczał i w związku z tym załatwialiśmy się w szparę między drzwiami a podłogą przez cały czas. Dało to taki efekt, że jak nas przywieziono do Lublina, to Niemcy musieli te drzwi odbijać młotami, bo to wszystko zamarzło i to za nic się nie dało inaczej uruchomić. No i tam nas jeszcze nie było tak dużo napakowane, żeśmy mogli wkoło tego wagonu chodzić, żeby się rozgrzać. Nawet sobie pośrodku rozpaliliśmy ognisko z papierów, które z paczek mieliśmy przy sobie. I wtedy się dowiedziałem, co później wielokrotnie stosowałem, że jak nie masz w co się ubrać na mróz, to najlepszy jest papier i to gruby papier. Najlepiej papier z worków po cemencie. Włóż go pod koszulę, to nie przepuści wiatru i będzie ci ciepło, nie patrząc na to, czy on jest brudny po cemencie, czy nie, najważniejsze, że jest gruby i za koszulką. No więc tak przyjechaliśmy do Lublina. W Lublinie pięknie, prawda, biały śnieżek, światełka obozu, dymy. I dym z kominów prosto do góry, bośmy wieczorem tam przyjechali. Tam nas, już nie pamiętam, na jaki dworzec nas tam przywieźli w tym Lublinie, w każdym bądź razie z psami nas przeprowadzono do obozu. To jednak trochę trwało, bo oczywiście była... Prowadzono nas, esesmani mieli pistolety w rękę i psy. No i zaczęły się te sprawy obozowe. Tu właśnie Zelent nam bardzo pomógł, bo my z tych grup, z tego oddziału izolacji, tośmy w ogóle nie potrafili żyć w tej społeczności więziennej, bo to jest specyficzna społeczność i Zelent nam bardzo w tym pomagał, żeby inni nas nie wykorzystywali za bardzo. No, tam trzymali nas nawet w ubraniach, jeszcze naszych własnych, przez pewien czas. Z tym że wpuszczono nas do takich baraków, które właściwie były barakami stajennymi, to znaczy miały wielkie wrota, ale okien nie miały i żadnych prycz nie było, tylko słoma rozestana na ziemi. Żadnych urządzeń higienicznych też nie było, tylko wielka skrzynia, do której się wszyscy załatwiali, którą z ledwością później, rano, czterech ludzi wynosiło i uważali, żeby się to nie wychlapywało. No i to tak trwało pewien czas. No i zaczęły się wszy, bo na Majdanku wszy nam towarzyszyły cały czas. Później nas przebrano, zapędzono do roboty różnorakiej. Oczywiście tam na Majdanku są te pola, pierwsze, drugie, trzecie, podzielone drutami. Ja byłem na trzecim i na czwartym polu. Wykonywałem różne czynności na tym... I jak było. Pamiętam, na początku było fatalnie, bo nawet w ogóle nas do pracy nie brano, tylko były takie, maszerowaliśmy cały dzień wkoło placu obozowego i to w takich tych drewnianych butach, z drewnianymi podeszwami. Znaczą, to był, cholewka była z jakiegoś tam brezentu czy z czegoś, ale podeszwa była drewniana. To do marszu było straszne, bo te sznurowadła się wrzynały tu w skórę, nawet do krwi. No, ale jak nas przebrano już, nie pamiętam, czy to pierwsze przebranie było, czy kolejne, to... Chyba co miesiąc nas tam do łaźni gonili. Łaźnia była w tych samych pomieszczeniach, które były w razie potrzeby wykorzystywane jako komory gazowe. Więc tam musiałeś oddać wszystko, co miałeś, bieliznę i ubranie, nago szedłeś do tej łaźni. Tam musiałeś wejść do takiej wanny z wodą, z lizolem, co niby miało zapobiegać tym wszom. No, a później... Woda była zimna, gorąca, mniejsza z tym. Tak że bywało tak, że przy mrozie musiałeś z jednego baraku przebiec do drugiego nago, żeby zająć do tej pralni. I później dostawałeś nowe ubranie, tak jak leci, więc ja wiem, pamiętam, kiedyś to dostałem bardzo dobrze, bo dostałem dwurzędową marynarkę, to się mogłem dobrze opiąć i postawić sobie kołnierz, bo żadnego oczywiście płaszczka to nie było. Ale dostałem kalesony długie, też dobrze. Ale do tych długich kalesonów takie spodnie zapinane pod kolanami. Wyglądałem jak... No ale... No dobrze. Tak o nas dbano. I mało tego, tę nową bieliznę i te nowe ubrania, które po tej łaźni miałeś dostać czyste, dostawałeś od razu z wszami, tak że wszy były od począt-

ku do końca. I to takie wszy. Ja później przychodziłem wieczorem na barak, była taka ta „koza” z rurą i ja zdejmowałem koszulkę i na tej rurze sobie ją ocierałem, bo w ten sposób te wszy się przypalały i odpadały, bo tak wybierać,

to się nie nadążało. Tak że wszy to... No i wszy to jest tyfus. No i tam były różne sposoby zajęć. Czym ja się zajmowałem. Byłem brukarzem. Najpierw to byłem... A tak, najpierw chyba byłem brukarzem. To znaczy, wokół tych drutów wewnętrznych układaliśmy takie chodniki z cegieł i ja powiedziałem, że ja to umiem, w związku z tym cały dzień na kolanach siedziałem i układałem te cegły. To było lepsze niż noszenie nositek. A później gdzieś tam wypatrzyli, że ja mam... Nie mam dwudziestu jeden lat, bo według niemieckiego ówczesnego prawa, pełnoletnim się było po ukończeniu lat dwudziestu jeden. I dali mnie do złej roboty, do kartoflarni, do obierania ziemniaków. Ponieważ ja się obierać ziemniaki nauczyłem na obozach harcerskich, to nawet zdarzyło się, bo tamten, ten esesman, taki stary esesman, urządzał takie zawody: kto będzie miał najcieńszą i najdłuższą obierzynę. No i raz mi się to zdarzyło, to wtedy dostałem taki kawałek kielbasy. Bo on patrzył, kto ma najcieńszą i najdłuższą, i kto ma najgrubszą i najkrótszą. Bo ten, co miał najgorszą obierzynę, to był oblewany przy dwudziestu stopniach na dworze, wodą zimną i tak wypuszczany. No, ale później się tam tropnęli, że ja mam za dobry wygląd, za dobrą kondycję fizyczną, że bym pracował na kartofli i mnie stamtąd wyrzuciono. No już nie pamiętam, co ja wtedy robiłem, w każdym bądź razie, wtedy regularnie były tak zwane selekcje, to znaczy w jakiś tam dzień tygodnia wszyscy mieszkańcy danego bloku musieli stanąć przed blokiem w szeregu, przechodził esesman, ten Lagerarzt tak zwany, czyli lekarz obozowy i blokowy... I... Ten Lagerarzt to był z reguły więzień... Na Majdanku to z reguły był jakiś „zielony winkiel”, czyli zawodowy przestępca. „Zielony winkiel”, to był Berufsverbrecher, a ja miałem czerwony winkiel, byłem politische, z literą „P” jeszcze w dodatku. Polen. Więc tych dwóch szło, trzeba było wystąpić krok naprzód i on patrzył: nadajesz się do pracy czy się nie nadajesz. Jak się nie nadajesz, to zapisywał numer – „Wystąpić!” – znikateś. Powszechnie się mówiło, że oni szli natychmiast do gazu. To każdy się prężył, żeby być jak najbardziej, wyglądać na jak najbardziej sprawnego. Najgorzej było z ludźmi starszymi i takimi o gorszej kondycji fizycznej. No, ale jakoś przez to przeszedłem. To była ta śmierć, która się koło ciebie ciągle przewijała na Majdanku, bo jeszcze poza tym to... Jak mnie się pytają: jak ja przetrwałem, to ja mówię, że przede wszystkim miałem szczęście, bo mogłem mieć świetną kondycję fizyczną, mogłem być całkiem nieźle odżywiony, a nie spodobałem się jakiemuś draniowi, esesmanowi czy kapo, dostałem pałą w łeb i koniec. On mógł mnie urządzić natychmiast. Przez cały... Na początku, jak żeśmy tam przyjechali, wszyscy esesmani nosili pejcze. Jak nie zdjęteś na czas przed nim czapki, to dostawałeś tak przez twarz tym pejczem. Ale tu też ciekawa uwaga. Jak się rozeszła wieść o tym, co się stało pod Stalingradem, esesmani przestali nosić pejcze, przestali nosić. No i później któregoś dnia, à propos tego, czym się zajmowałem, to zapytali się, kto mówi po niemiecku. Ja oczywiście się zgłosiłem i zostałem tak zwanym gońcem na takiej filii szpitala na jednym z pól tam. To znaczy, moim głównym zadaniem, poza tym, że nosiłem jakieś papiery, to jeszcze przeprowadzałem grupy chorych, którzy się zgłaszali na czwartym polu do rewiru, czyli szpitala, na pierwsze pole. To posada była dobra, bo dostałem buty skórzane, już nie chodziłem na drewnianej podeszwie, tylko na normalnej, skórzanej, no i jakoś mogłem się ubrać lepiej trochę. I byłem trochę lepiej traktowany, jako ten goniec. I tak było przez pewien czas, już nie pamiętam, jak długo, dopóki nie zachorowałem na tyfus, który tam panował powszechnie. Miałem szczęście, że to była jakaś taka trochę ułomna forma tyfusu, ale w każdym bądź razie przez tydzień leżałem w szpitalu, a w szpitalu były warunki fatalne. Oczywiście... Już nie pamiętam, czy tam były prycze trzypiętrowe, czy nie, w każdym bądź razie siennik bez żadnego prześcieradła, koc bez żadnego prześcieradła i jakaś, też napchana słomą, poduszeczka. To oczywiście wszystko bez prześcieradła. I ty nago, żadnej koszuli nie miałeś jako chory. No i tak mniej więcej chyba tydzień leżałem. Z tym że miałem wysoką gorączkę i nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje, ale wiedziałem jedno, że... Ale wyżywienie mi dawali normalnie. Oczywiście tej zupy to ja tam, już nie wiem, czy... Ale chleb sobie usiłowałem

chować pod siennik. Miałem tyle świadomości, że jak będę, jak trochę się lepiej poczuję, to będę miał co jeść. No niestety, jak się lepiej poczułem, to chleba już nie było, ktoś... No, ale po tym jakoś, no... Organizm po prostu sam spowodował, że przetrwałem ten kryzys chorobowy i mnie wypuścili z tego szpitala. Jak wyglądała moja kondycja. Jak szedłem do szpitala, to z reguły, bo jak przywieziono na blok zupełną w takich termosach żeliwnych, takich grubych, to tam trzeba było dwóch ludzi, żeby to przynieść na blok. To ja zawsze szedłem i niosłem to bez trudu. Jak wróciłem ze szpitala, to nie ja podnosiłem ten termos, a termos mnie ciągnął do ziemi. Nie dało rady. No, ale trafiłem na kolegów, którzy mnie tak wciągnęli do takiej... Komanda. Były... Komanda robocze to się nazywało, które się nazywało Wagenkolonne, czyli był wóz do rozwożenia różnych rzeczy, między innymi żywności, który nie był ciągniony przez konie, tylko ludzie go ciągnęli. Tam nas było, ja wiem, dwudziestu czy iluś. No to ci koledzy mówili: „Słuchaj, ty wśród nas to się przechowasz, dopóki się nie wzmocnisz”. No i tak to było, że w tej Wagenkolonne jakoś się tam... Zresztą tam takiego równego miałem kumpla. Jak on się nazywał – Józek Janusz. To był starszy trochę ode mnie chłopak. On był z takiego... Z zakładów lotniczych wojskowych. On był specjalistą od wyrobów z blachy, od tych wszystkich aerodynamicznych obudów w samolotach. No więc w ten sposób żeśmy... Zaraz, jak to było? Bo ja jeszcze przez pewien czas... Bo z nim później trafiliśmy do tak zwanego Lager... No znaczy, do tych obozowych obozów, Gärtneral to się nazywało. Tam on robił konewki, ja mu pomagałem w tym, co, co było... Miało ten plus, że się siedziało pod dachem. A poza tym, to zawsze tam można było trochę tych jarzynek gdzieś tam wziąć, wyskrobać na lewo. I jak wracaliśmy do domu, do baraków na noc, to przechodziliśmy koło takiego miejsca, które było, tam były psy esesmańskie i tymi psami opiekowali się, taka grupa Żydów słowackich. No tośmy weszli z nimi w porozumienie, że my im przyniesiemy pietruszkę i marchewkę, i rzodkiewkę, a oni nam dadzą trochę tego mięsa, które mają dla psów – taka wymiana. Między innymi, w jakimś tam momencie, oni nam powiedzieli, że mają świeże mięso z psa niedawno zabitego, bo on coś tam. Czy my chcemy. No myśmy doszli do wniosku, że spróbujemy. Ale nic z tego nie wyszło, nie dało się tego psiego mięsa... Widocznie myśmy nie umieli. Tak śmierdziało psem, że się nie dało jeść.

[00:56:36 KONIEC NAGRANIA]